

ADOLF JAKUBOWICZ

ZŁE KLIMATY

Niestety! Tej sali nie było w stanie ogrzać nawet najbardziej gorące, ba, powiedziałbym, płomienne wystąpienie radnego Świątlika. Zebrani siedzieli na sali w kożuchach, futrach, płaszczach, z podniesionymi kołnierzeniami, część ich, bardziej odległa od prezydijskiego stołu, podgrzewała się układkiem elektrycznym piecykiem.

Myszę, że ta zimna sala również wpłynęła na charakter dyskusji, która była pełnym przeciwieństwem panującej w niej aury.

Czytelnikowi należy się małe wyjaśnienie. 25 stycznia br. w Korczynie w powiecie krośnieńskim odbyło się pierwsze w tej kadencji wyjazdowe posiedzenie Komisji Kultury, Sportu i Turystyki Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie i Komisji Oświaty i Kultury Powiatowej Rady Narodowej w Krośnie.

Do spotkania tego obie komisje przywiązywały dużą wagę. Zainteresował się nim również Zespół Kultury KW PZPR, którego członkowie i sekretarz wzięli w nim udział. Na obrady przybyli również sekretarz Prezydium PRN w Krośnie Eugeniusz Opiola, przedstawiciele władz powiatowych oraz miejscowych zakładów pracy. Uczestniczyli w nim członkowie Komisji Oświaty i Kultury i Spraw Socjalnych tutejszej GRN.

Dlaczego właśnie powiat krośnieński stał się przedmiotem badań komisji wojewódzkiej i powiatowej, dlaczego tu właśnie odbyła się pierwsza tego typu dyskusja?

Pamiętam, że na jednym z pierwszych w nowej kadencji posiedzeń Komisji Kultury, Sportu i Turystyki Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie wypłynął „problem Krosna”. Piszą „problem Krosna”, gdyż od wielu lat mówią się i pisano o nim w superlatywach, jako o powiecie produkującym w społecznym budownictwie kulturalnym, powiecie o dobrze rozwiniętej pracy k.o. Sygnali, jakie przekazano komisji podważały nieco ten wzorcowy schemat, ale mogły być nieprawdziwe, subiektywne.

Komisje kultury — wojewódzka i powiatowa, postanowiły się bliżej przyglądać sprawie i zbadać sytuację kulturalną powiatu na miejscu. W okresie kilku tygodni poprzedzających spotkanie w Korczynie, do kilku gromad w powiecie krośnieńskim wyjechały wspólne zespoły kontrolne obu komisji.

Rezultaty tych kontroli przedstawione zostały na spotkaniu w Korczynie, jednym z nielicznych zebrań tego typu, jakie pamiętam od szeregu lat, w którym nie było referatu, ale padały stwierdzenia „to widzieliśmy”, „według naszych obliczeń”, „jak stwierdziliśmy na miejscu” itp.

Wyniki bezpośrednich kontroli w placówkach kulturalno - oświatowych, rozmowy z dziesiątkami działaczy kulturalno - oświatowych we wsiach, osiedlach, w samym

Krośnie przyniosły obraz daleki nie tylko od doskonałości, ale i zwykłej przeciętnej.

W Korczynie sprawozdania z przeprowadzonych kontroli składałi członkowie obu komisji i były to na ogół głosy niemal identyczne. Wyniki kontroli potwierdzają starą i znaną prawdę, że nie wystarczy wybudować pięknego domu kultury, nie wystarczy, by otrzymał on imię, które zna każde dziecko, ale trzeba jeszcze, by się w nim coś działo... A, niestety, o Bóbrce roku 1965/66 kontrolujący niewiele pozytywnego mogą powiedzieć. Na starej, dobrej opinii daleko już nie zajędzie.

Charakterystyczne są również i te fragmenty kontroli, które nie mogły się znaleźć w sprawozdaniu.

— „Do biblioteki nie wpuszczono nas, bo podobno tam się sufit zawalił”.

Kontrole prowadzone w powiecie krośnieńskim pokazują, że statystycznie rzecz biorąc, niemal każda tutejsza wieś ma jakąś placówkę kulturalną, klub, dom ludowy, świetlicę lub bibliotekę. Tylko w latach 1960—1964 oddano do użytku 8 obiektów kulturalnych na wsi, a dalszych kilkanaście jest w budowie, bądź rozbudowuje się. Osiągnięcia te budzą uznanie i szacunek, i one w poważnej mierze ukształtowały pozytywną na ogół opinię o sytuacji kulturalnej Krośnieńskiego.

Paradoksem i to zdumiewającym paradoksem jest jednak co innego. Dysproporcja i to wielka dysproporcja między tym wielkim wysiłkiem i w e s t y c y j n y m społeczeństwem i państwem, a codzienną działalnością kulturalną istniejących placówek. Przytoczone wyniki kontroli potwierdziły w całej pełni słusność alarmów, jakie od pewnego czasu podnoszą działacze kultury powiatu krośnieńskiego. Potwierdziły raz jeszcze, że Komisja Oświaty i Kultury Powiatowej Rady Narodowej w Krośnie i jej przewodniczący w ciągu kilku zaledwie miesięcy swej pracy zabrali się do uporządkowania spraw najbardziej niewralgicznych i wymagających najszybszych interwencji.

W ciągu kilku ostatnich lat następowali w powiecie krośnieńskim pewne zjawiska, o których trzeba pisać dziś z przykrością i wstydem. Ze wstydem, że nie potrafiono we właściwym czasie powiedzieć wystarczająco głośno, że dzieją się tu rzeczy niedopuszczalne!

Od kilku lat krośnieńskie biblioteki poważeczne otrzymywały na zakup książek kwoty nie tylko niewspółmierne do potrzeb, ale wręcz żenujące w stosunku do sum przeznaczanych na ten cel w innych powiatach. Preliminarzanie w budżecie na zakup książek do 33 bibliotek i ponad 60 punktów bibliotecznych kwot od 20 do 30 tys. złotych rocznie, jest w województwie rzeszowskim właściwie faktem bez precedensu. Szczególnie chude dla tych placówek były trzy ostatnie lata, gdy liczba zakupowanych książek spadała do rozmiarów wręcz kompromitujących.

Każdy kto przynajmniej częściowo interesuje się problemami czytelnictwa wie, że biblioteka bez dopływu nowości już po kilku miesiącach staje się placówką martwą i tylko od ofiarności i inwencji bibliotekarzy zależy, czy utrzymają przy tej placówce swoich czytelników. Niestety, dopływ książek do bibliotek powiatu krośnieńskiego był w ostatnich latach minimalny. Dane za rok ubiegły mówią, że w powiecie krośnieńskim dla jednego statystycznego czytelnika zakupiono zaledwie jedną czwartą książki! Przeciętna tutejsza biblioteka gromadzka zakupiła w tym okresie 124 książki, podczas, gdy taka sama biblioteka w powiecie jasielskim — 345 woluminów, a biblioteka gromadzka, w nie bogatszym chyba powiecie strzyżowskim — 320 pozycji.

Na rezultaty takiej właśnie polityki finansowej w stosunku do bi-

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

ILIA ERENBURG



Ilie Grigoriewicza Erenburga poznałem bardzo dawno. Jeszcze kiedyś w Paryżu, przed czterdziestu laty, przedstawił mi go na ulicy, niedaleko kościoła Magdaleny, Julian Tuwim. Tuwima łączyły z Erenburgiem bardzo serdeczne stosunki, a ja, chociaż go spotykałem i spotykan bardzo często, ograniczyłem się raczej do obserwowania tego niezmiernie interesującego człowieka i pisarza. Toteż nie mogę powiedzieć, że łączy mnie z nim przyjaźń, jest to tylko serdeczna znajomość.

Zwłaszcza interesujące obserwacje mogłem poczynić podczas wielokrotnych spotkań naszych na rozmaitych posiedzeniach Rady Pokoju, różnych „okrągłych stołów” i tym podobnych organizacji kulturalnych i społecznych. Dzięki swoim talentom, znajomości spraw tego świata, niezwykle szybkiej orientacji w skomplikowanej grze politycznej i nieprzeciętnej inteligencji, podpartej znakomitym dowcipem słownym, Erenburg odgrywał i odgrywa na tego typu zebraniach rolę pierwszoplanową.

Jeszcze jedna zaleta pomaga mu w tej działalności: niezwykła pracowitość. Z wielką ofiarnością potrafi on poświęcić wiele godzin dnia i nocy na opracowanie wszelkiego rodzaju apelów i rezolucji, uzgadniając częstokroć wręcz przeciwstawne sobie zdania. Jego umiejętności formułowania, przemawiania do rozsądku, ratowania niejednej sytuacji po prostu dowcipem — jest godna pozazdroszczenia. Obserwowanie jego pracy na zebraniach międzynarodowych jest nie tylko interesujące, ale i pocieszające: nabiera się wiary w możliwości człowieka i literata, w skuteczne działanie na opinię publiczną i na kształtowanie się współzycia pomiędzy narodami.

Ale Erenburg jest także znakomitym pisarzem. W jego piórze może najbardziej uderza umiejętność syntetyzowania, oddawania at-

tałem ją w samolocie w powrotnej drodze do Warszawy. Była to „Odwilż”. Niewielu pisarzom przypadło w udziale ochrzcić tytułem swego dzieła całą epokę.

Wtedy właśnie w Finlandii poczułem do Erenburga bardzo wielką sympatię w następujących okolicznościach: na przyjęciu w Ambasadzie Polskiej rozmawialiśmy dość zaawskowo i oficjalnie w parę osób siedząc przy stoliku. Było to już po śmierci Tuwima i coś się zgadzało o naszym znakomitym poecie i przyjacielu Erenburga. Erenburg zaczął wspominać spotkania swoje z Tuwimem i nagle po policzkach jego poczęły ślekać łzy. Rozplakał się bezgłośnie. Zrozumiałem, że jego sympatia do Tuwima i do nas wszystkich jest sprawą bardzo głęboką i wcale nie zdawkową. Przywiązało mnie to do tego człowieka, o którym nie tylko dobre rzeczy mówi się na szerokim świecie.

Kiedyś Erenburg był u mnie w domu, w Stawiskach. Kiedy wprowadziłem go na przechadzkę, powiedział mi: „Bardzo tu ładnie, tylko za mało kwiatów!”. W jego letnim mieszkaniu kwiatów jest pełno, nawet o bardzo wczesnej porze: jest hodowcą pierwiosnków i anemonów, których mu dostarczają przyjaciele ze wszystkich stron świata.

Ten jego pobyt u mnie w Stawiskach pamiętny jest i z innych względów. Erenburg rozgadał się i przez parę godzin opowiadał o swoim życiu, o swych konfliktach i pracach, mniej więcej o wszystkich tych rzeczach, które weszły potem do jego pamiętników. A że gawędziarz jest on pierwszorzędny, tych parę godzin zaliczam do najbardziej interesujących spotkań literackich w moim życiu. Cieszę się, że asystowało przy tym kilku moich kolegów pisarzy, bo były to chwile naprawdę bardzo przejmujące.

Był Erenburg u nas i ze swoją żoną. Okazało się, że mamy wiele wspomnień i wspólnych znajomych z Kijowa, to jeszcze pomnożyło nić wzajemnej sympatii między nami. Nie manifestuje się ona wyłącznie, a jednak niechybnie stanowi trwałą łącznik. Bardzo się z tego cieszę.

gółu ludzkich żywotów i ludzkich opinii. To właśnie czyni pamiętniki Erenburga tak znakomitą i tak bardzo interesującą książką.

Kiedyś na jakimś spotkaniu międzynarodowym w Finlandii ofiarował mi małą książeczkę. Przeczy-

BOGDAN LOEBL

LUKI

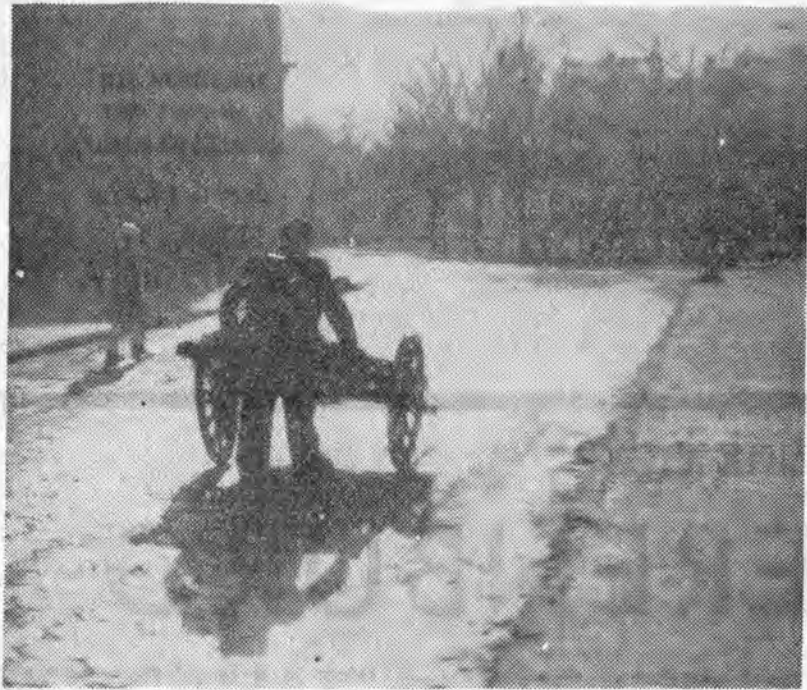
*Luki
którymi toczą się kule z ognia
trapezy lotek gilotynujące
osadzone są w nas*

*także przywleczone z dzieciństwa
ręką matki rozciągnięte
zasięki
krzyży na drogę*

*i obok niej
odciskające na trawie
kształt skrzydeł Gdzie
łuska karabinowego pocisku
wypuszcza liść rdzy
i kość czerwienieje
w ciszy
przed eksplozją Polyskliwie
łuki płomyków wyrzuty paznokci
łuki brwiowe
rozpylone w dym matowo*

*z nich
liszaje bólu wokół naszych ramion
tężących jak blok powietrza
który tniesz
pociskiem krzyku przerażenia*

*matko
nienarodzonego.*



Fot. M. Kopec

Więcej muzyki i audycji rozrywkowych

(ROZMAWIAMY Z RED. NACZ. ROZGŁOSIŃ PR W RZESZOWIE ZYGMUNTEM WÓJTOWICZEM)

Z dniem 1 bm. w Radiofonii Polskiej wprowadzono dość zasadnicze zmiany programowe. Aby naszych Czytelników z tymi zmianami zapoznać — zwróciliśmy się z kilkoma pytaniami do redaktora naczelnego Rozgłośni Polskiego Radia w Rzeszowie Zygmunta Wójtowicza:

— Co było przyczyną zmiany ramówki programowej?
— Powodów było sporo... Współczesne funkcje radia są na ogół wszystkim szeroko znane, więc nie ma potrzeby nad tym się rozwodzić. Przypomnę tylko krótko: radio jest masowym i najszybszym środkiem informacji propagandy i wychowania kulturalnego. Jednak w czasie swej kilkudziesięcioletniej historii program radiowy został obciążony pewnymi nawykami. Pewne tradycyjne formy natomiast nie mogą sprostać obecnym potrzebom, nie odpowiadają już współczesnemu słuchaczowi. O, właśnie — słuchacz! Do jego dyspozycji pozostaje dziś szeroka sieć środków masowego oddziaływania; rozwinięta sieć kin, placówek czytelniczych, prasa, radio i telewizja. A taka rzeczywistość wymaga świadomego współdziałania wszystkich tych środków, oczywiście pod kątem wymogów słuchacza. Nie chodzi więc o konkurencję radia i telewizji, lecz o współdziałanie.

Biorąc również pod uwagę fakt, że radio, mimo tych obciążeń, o których wspominałem powyżej, rozwija się i programowo, i technicznie — dochodzimy do prostego wniosku, że trzeba było zmienić i profil, i charakter audycji. Tym bardziej że wciąż zdobywamy nowe, szersze obszary oddziaływania, o czym świadczy wzrost ilości radioabonentów.

— W jakim więc kierunku poszły zmiany?
— W kierunku uczynienia programu radiowego bardziej „strawnym”, lżejszym, w kierunku lepszego adresowania poszczególnych audycji do określonych kręgów odbiorców. Za podstawę do wprowadzenia tych zmian wzięto wyniki prac Ośrodka Badań Opinii Publicznej przy Komitecie d. s. Radia i Telewizji. Zmiany układu ramowego, obowiązujące od 1 bm. odnoszą się również do naszej Rozgłośni.

— Właśnie, jakie to są zmiany?
— Przede wszystkim poważnie zwiększyliśmy czas nadawania naszych lokalnych audycji (o blisko 30 procent — przyp. j. w.). Poważnie zwiększamy ilość audycji muzycznych w proporcji do audycji słownych. Będzie to muzyka różnorodna, począwszy od muzyki poważnej, a skończywszy na nowoczesnym jazzie i kapeli pod kierownictwem Władysława Łobody. Szerzej niż dotychczas popularyzować też będziemy muzykę innych krajów, szczególnie naszych sąsiadów. Dążyć będziemy do tego, by nasz program był lżejszy, bardziej rozrywkowy.

— Przejdźmy do konkretów...
— Dotychczas głównym „blokiem programowym” — tak to nazywamy — naszej Rozgłośni był odcinek popołudniowy w czasie od godz. 16.05 do 17. Obecnie odcinek ten uległ nieznacznemu skróceniu, natomiast „wchodzić” będziemy na antenę częściej w godzinach rannych i przedpołudniowych. Np. nowymi pozycjami programowymi naszej Rozgłośni są audycje nadawane dwa razy w tygodniu od godz. 7.45 do 8.15 oraz trzy razy w tygodniu od 9 do 9.30. Zdamy sobie sprawę, że w tych godzinach słuchać nas może określony krąg słuchaczy — dlatego właśnie do nich audycje te będziemy adresować. Znajdzie się w nich czas na bieżącą informację, krótkie felietony i reportaże, na tematy kulturalne, obyczajowe i wychowawcze, wreszcie na różnego rodzaju porady, np. psychologa, lekarza, czy prawnika. Najwięcej okazji i czasu na słuchanie radia w godzinach rannych i przedpołudniowych mają gospodynie domowe w mieście i na wsi, emeryci, robotnicy pracujący na drugą lub trzecią zmianę, chorzy przebywający w szpitalach... Dlatego w naszych rannych i przedpołudniowych audycjach eksponować będziemy problemy i sprawy interesujące te właśnie kręgi ludzi.

W odcinkach popołudniowych zrezygnowaliśmy z kilku dotychczasowych pozycji zachowując jednak te, które stanowią dla nas jakiś trwały dorobek. Przykładowo wymienię nasze odcinki ekonomiczne, audycje o sporcie, dla młodzieży i wojska, czy takie pozycje, które zdobyły już sobie kręgi stałych słuchaczy, jak: „Odpowiedzi ze studia”, „Wioskie canto”, „Jakie są pytania”, „Skąd przybywasz piosenka”, a także słuchowiska literackie i sobotnie magazyny informacyjne.

Z nowych audycji wspomnę m. in. o magazynie studenckim, przeznaczonym głównie dla studentów rzeszowskich wyższych uczelni, a z audycji muzycznych wymienię takie m. in., jak „Uczymy się słuchać muzyki”, „Muzyka na wesoło” i „Ulubieńcy młodzieży”.

— A odcinki niedzielne?
— W niedziele będziemy nadawać program dwukrotnie. Wieczorem o 20.50 nadawać będziemy wiadomości sportowe, natomiast głównym naszym blokiem programowym będzie audycja — sądzimy, że w bardzo dobrym czasie — od godziny 10.50 do 11.55. Będą to audycje, m. in. „Opowieść wędrownicza”, „Sygnały poetyckie”, „Szlakiem 1000-lecia”, koncerty estradowe i in.

— Coraz większą popularność zdobywają sobie audycje na falach ultrakrótkich...?

— Rzeczywiście. Wszystkie nasze odcinki już teraz nadawane są na falach średnich i falach ultrakrótkich 68.2 megaherca (MHz). W tym przypadku nowością będzie i to, że w sobotę o 17 nadawać będziemy audycje muzyczne, wybitnie rozrywkową, przeznaczoną dla młodzieży. Audycja ta nosić będzie tytuł „Big-beat na UKF-ie”.

Oddzielnym oczywiście problemem byłyby treści programowe. Rzecz zrozumiała — w bieżącym roku zechcemy szeroko włączyć się w jubileuszowe obchody 1000-lecia Państwa Polskiego, pragniemy, aby nasz program radiowy w dalszym ciągu pomagał w realizacji zadań gospodarczych i politycznych województwa.

Rozmawiał: J. W.

TADEUSZ PŁUŻANSKI

KATOLICYZM W AFRYCE

Ludność Afryki oceniano w 1962 roku na 250 milionów, z czego tylko około 22 mln stanowią katolicy. Najliczniej reprezentowany jest animizm, islam, a na trzecim miejscu dopiero chrześcijaństwo, które z kolei rozpadła się na grupę katolicką oraz kościoły protestanckie skupiające około 7 mln wiernych.

Najstarszą formą chrześcijaństwa afrykańskiego jest Kościół koptyjski egipsko-abisyński, którego tradycje sięgają na około 16 stuleci wstecz. Zwłaszcza Kościół abisyński, który wyodrębnił się i uzależnił w ostatnich dziesięcioleciach, zachował dawne autonomiczne tradycje.

Katolicyzm afrykański reprezentuje około 9 proc. ludności Czarnego Kontynentu, ale rozszany jest we wszystkich krajach Afryki — pretenduje przeto do roli Kościoła także dla Afryki uniwersalnego. On jeden wypracował od dawna określone metody pracy, posiada ośrodki kierownicze i jest ściśle związany z jednym centrum dyspozycyjnym z Watykanem. Kościoły protestanckie, głównie holenderskie mają nieporównanie mniejsze znaczenie, a ich wpływy polityczne, gospodarcze i kulturalne nie mogą sprostać ekspansji katolicyzmu.

Spośród krajów Afryki północnej katolicyzm najliczniej reprezentowany jest w Algierii (ok. 1 mln wiernych), ale wyznawcami Kościoła rzymskiego są tu w ogromnej większości francuzi koloniści. W Afryce wschodniej katolicyzm uzyskał największe wpływy w Tanganice (ponad 1.300 tys. wyznawców) i w Ugandzie (ponad 1.700 tys. wyznawców). W Afryce zachodniej katolicyzm najliczniej reprezentowany jest w Nigerii (ponad 1.600 tys. wyznawców), a w Afryce środkowej w Kongo Leopoldville (ponad 4.800 tys.). Spośród krajów Afryki południowej na pierwszym miejscu pod względem liczebności katolików stoi Angola (ponad 1.500 tys. wyznawców) oraz Republika Południowo-Afrykańska (850 tys.), jednakże w republice tej przyłączając większość katolików stanowią biali. Wymienić trzeba jeszcze Madagaskar, gdzie Kościół skupia ponad milion katolików.

Afryka jest podzielona na 181 diecezji i 3 prałatury niliis podlegające Kongregacji Krzewienia Wiary; niektóre inne okręgi afrykańskie podlegają Kongregacji Konsystorialnej oraz Kongregacji Nadzwyczajnych Spraw Kościelnych. Dotychczas przewagę liczebną w hierarchii Kościoła w Afryce mają Europejczycy: 44 biskupów Francuzów, 107 innych Europejczyków, 13 Amerykanów a tylko 32 Afrykańczyków. Oblicza się ogólnie, że stopień autochtonizacji episkopatu afrykańskiego wynosi około 13 proc. Ten stan rzeczy został uznany za

wysoko niezadowolający, albowiem nie odpowiada on współczesnym potrzebom katolicyzmu, który stara się uzyskać możliwie głęboki i powszechny wpływ bezpośrednio na ludność miejscową, a nie za pośrednictwem — jak to było do niedawna — misjonarzy, bądź kleru diecezjalnego pochodzenia europejskiego.

Do niedawna mówiło się jeszcze o potrzebie chrystianizacji Afryki, poszczególnych kultur afrykańskich. W tym duchu formułowane były jeszcze dokumenty wydawane przez Piusa XII, które wprawdzie podkreślały konieczność reorganizacji misji, ale w dalszym ciągu postulowały umocnienie katolicyzmu w Afryce w sposób trwały i ostateczny — poprzez chrystianizację typu europejskiego — ludów i narodów Czarnego Łądu. Encyklika Piusa XII „Fidei donum” z 1957 roku stara się postawić cały Kościół w gotowości do działań misyjnych, apeluje do europejskiego kleru o żywszy niż dotychczas udział w pracy misyjnej.

Dopiero od czasów Jana XXIII Watykan uznał potrzebę stwierdzenia, że Kościół nie identyfikuje się z żadną kulturą — nawet zachodnią. Przełomowa pod tym względem jest encyklika papieża Jana „Princeps pastorum” z 1959 roku, która kładzie nacisk na konieczność dostosowania Kościoła do kultur krajów misyjnych — głównie Afryki i Azji. Encyklika ta postuluje także liczby wzrost kleru autochtonicznego, bez którego niemożliwe jest dalsze rozwinięcie pracy misyjnej, a zwłaszcza organizacja stałej hierarchii kościelnej.

Przełom, jaki powstał w okresie pontyfikatu Jana XXIII, zbiegł się ze szczytowym punktem afrykańskich ruchów niepodległościowych. Rzec by można, że Kościół tym razem nie spóźnił się: „godzina Afryki”, która wybiła w 1960 roku, była jednocześnie godziną gwałtownego zwrotu polityki watykańskiej w stosunku do Czarnego Łądu.

Nie można się było odcinać od afrykańskich ruchów niepodległościowych — należało je nawet popierać, aby nie dopuścić do ich wymknięcia się spod ideologicznej i politycznej kontroli. Oznaczało to jednocześnie radykalne, choć oczywiście pozorne, odcięcie się od kolonializmu.

Na terenie Afryki istniały od dawna dwie potężne religijne sily: animizm i islam, którym należało się przeciwstawić, bądź je zneutralizować, montując wspólne fronty przeciwko rosnącemu wpływowi idei lewicowych, przede wszystkim komunistycznych.

Rzecz biorąc od strony pozytywnej trzeba było przede wszystkim

„odzachodnić”, „odeuropeizować” katolicyzm, a także wzmocnić kadry autochtonicznego kleru i zwiolokrotnie szeregi katolickiej inteligencji murzyńskiej wykształconej w szkołach katolickich.

Kościół rzymski, aczkolwiek starał się odseparować od kolonializmu, przecież nigdy go nie potępił. Modyfikując ruchy narodowo-wyzwoleńcze i starając się uzyskać na nie wpływ maksymalny, Kościół usiłował jednocześnie powściągać zbyt gwałtowne dążenia. Zabiegi Kościoła zmierzają ku wzmocnieniu miejscowej burżuazji — co miało korzystne znaczenie zarówno dla byłych metropolii kolonialnych, władających krajami afrykańskimi wespół z rodzimą burżuazją tych krajów, jak i dla Kościoła w Afryce, który w elicie wykształconych przez siebie Afrykańczyków upatrywał istotną pomoc dla dalszej działalności misyjnej.

Przystosowanie Kościoła do potrzeb Afryki obejmowało nie tylko stworzenie nowej administracji, ale także pójście na daleko idącą modyfikację pewnych elementów kultu, zwłaszcza liturgii. Postulowano na przykład od szeregu już lat włączenie do liturgii katolickiej murzyńskich tańców sakralnych, a nawet zmianę szat liturgicznych przez upodobnienie ich do dotychczasowych strojów rytualnych szamanów. Mówi się już teraz nie o chrystianizacji kultur afrykańskich, lecz o „wzbogaceniu chrystianizmu źródłami pogańskimi”.

Jednostronny dotychczasowy wpływ Kościoła na tzw. kraje misyjne, w tym również kraje Afryki, uzyskał „sprężenie zwrotne” — staje się w coraz większym stopniu obopólnym oddziaływaniem kultu i polityki reprezentowanych przez Rzym oraz kultur, a także postulatów politycznych narodów i ludu „trzeciego świata”.

Opowiadanie Wygodzkiego po czesku

Nakładem Wydawnictwa Literaturnego w Pradze ukazał się zbiór opowiadań Stanisława Wygodzkiego pt. „W deszczu”. Obok noweli tytułowej znalazły się tam również opowiadania „Nauczyciel tańca” i „Człowiek z wózkami”.

Autorką przekładu jest H. Jehova; wstęp napisał B. Krzemiński.

JAN GERHARD



(Ciąg dalszy z poprzedniego numeru)

— Więc to jest tak... — zaczęła Barbara. — Jeśli dwaj lekarze sąsiadują z sobą, wówczas powinni równocześnie wyjechać na wakacje i w tym samym dniu z nich wrócić. Gdyby w ten sposób nie postępowali, wtedy ten, który pozostaje, mógłby odciągnąć część klienteli od tego, który wyjechał. Teraz rozumiesz?

— Zaczynam.
— Dla osiągnięcia tej równoczesności wakacji — uzupełniał Jarecki, to, co powiedziała jego żona — przeprowadzamy między sobą rodzaj wywiadu w sprawie terminów naszych urlopów. Chambardowi i mnie służy do tego kasjerka z „Le Havre”, Margot. Powtarza po prostu jednemu, co powiedział drugi. W jednym roku inicjatorem jest Chambard, w drugim ja.

— Nie możecie sobie tego bezpośrednio powiedzieć?

— Zwróciłaś? To byłoby niezgodne z etyką lekarską. Poza tym nie rozmawiamy z sobą od lat.

— A kto podczas nieobecności was obu obsługuje pacjentów?

— Trzeci lekarz, ale mieszkający

w większej odległości i dlatego niegroźny na dłuższą metę.

— Świetne urządzenie — pochwalili nie bez ironii Szymański.

— Tradycyjne — przytaknął Jarecki.

— Kiedy więc będziesz miał datę swolch wakacji?

— Trudno mi to ściśle określić, ale chyba już niedługo.

— No więc co z tymi Jeźziorami Mazurskimi?

— To jest znów inna para kłopotliwa.

— Chambard? — domyślił się Szymański.

— Tak, Chambard — westchnął Jarecki.

— Chambard — powiedziała, jak echo Barbara.

— Ja naprawdę dostanę kręćka! — zdenerwował się nie na żarty Szymański.

— Nie znasz naszych stosunków — mówił Staszek. — Podobnie, jak opowiadała mi Margot, Chambard ma w tym roku pojechać do Hiszpanii. Jeśli by to było zgodne z prawdą, powinniśmy się wybrać do Włoch. Jeżeli jednak Chambard uda się, jak mu się to zdarza, do Biarritz,

gdzie ma jakiś domek, wówczas istotnie mogliśmy się śmiało wybrać do Polski.

— Wyjaśnij mi tę strategię — zaśmiała się Barbara pod adresem męża. — Spójrz — dodała wskazując na Szymańskiego — jaką on ma minę...

— Ależ to proste! — zawołał wesoło Jarecki. — Hiszpania jest najtańszym krajem dla Francuza. Jeśli więc Chambard tam pojedzie, a my ruszymy do Włoch, wtedy mój prestiż w oczach pacjentów idzie w górę, gdyż wakacje włoskie są droższe od hiszpańskich. Jeżeli natomiast Chambard wyjadzie w Biarritz, czyli w prozaicznym punkcie krajowym, my będziemy mogli skierować się nad te Jeziora Mazurskie, bo wtedy nie ma żadnego naruszenia stosunku sił między Chambardem a mną.

Odpowiedź Szymańskiego zagłuszył dzwonek telefonu. Tym razem Jarecki rozmawiał długo. Nad czymś dyskutował, coś notował. Wrócił do pokoju z lekką podnieceną.

— Wyobraź sobie — zawołał do Barbary — Dupois wzywa mnie na konsylium!

1000 lat kultury polskiej

Wśród pisarzy konspiratorów, którzy w latach 1830—1845 przewinęli się przez teren dzisiejszej Rzeszowszczyzny, znajdował się rewolucyjny poeta przedlistopadowego romantyzmu i autor „Zamku kaniowskiego”, Seweryn Goszczyński. Ziemie tę pragnął on poznać już w roku 1828, kiedy z przyjacielem swojej młodości, Michałem Grabowskim Eilwagemem przez Lwów i Tarnów zamierzał udać się do Wiednia. „Marzy mi się pobyt w Galicji, życie awanturnicze w Karpatach, wojskowość w służbie austriackiej, huzary węgierskie, o-pryski itp.” — zapisał później na kartkach pozostałego po nim pamiętnika.

Marzenia Goszczyńskiego ziściły się po upadku powstania listopadowego w roku 1831, kiedy po przekroczeniu granicy pruskiej w przeciwnieństwie do ogółu emigracji, która podążyła do Francji, zmienił kierunek i udał się do Galicji. Skłoniły go do tego prawdopodobnie chęć prowadzenia pracy konspiracyjnej w tym zaborze, jako też przyjaźń z towarzyszem broni, także poetą, Józefem Tetmajerem, właścicielem Łopuszki. Jako służyca Tetmajera dzięki fałszywemu paszportowi, wystawionemu na nazwisko Gacek, które potem podczas działalności konspiracyjnej w Galicji — ze względu na sposób jego bycia — przylgnęło nieoficjalnie do Goszczyńskiego poety, znalazł się w dworcu dziada poety młodopolskiego, Kazimierza Tetmajera. Tenże dworek, jak i gościnność jego właściciela stanowiły główny punkt wypadowy ponad sześciolletniej pracy Goszczyńskiego, autora „Zamku kaniowskiego” w tej prowincji, mającej na celu wywołanie powstania. Obok Ignacego Kulczyńskiego był Goszczyński jednym z kierowników szlacheckiego Związku Dwudziestu Jeden. Uczestniczył w przygotowaniach do akcji Zaliwskiego, później stał się jednym z głównych twórców założonego w roku 1835 Stowarzyszenia Ludu Polskiego, które, w przeciwnieństwie do wyżej wymienionych organizacji konspiracyjnych, starało się bardziej oddziaływać na lud miejscowy.

W wędrowkach konspiracyjnych po Galicji, której charakterystyczne rysy odmalował w swym pamiętniku Zygmunt „Kaczkowski” („Mój pamiętnik z lat 1833—1843”), przemierzał Goszczyński niejednokrotnie tereny Rzeszowskiego. Kaczkowski uwiecznił też m. in. pobyt poety w Bereźnicy i zorganizowaną z Wincentym Polem wycieczkę na Łopiennik, który swoim widokiem panował nad okolicą. „Mówiono tu długo o rozmaitych rzekach i miastach, i zamkach — pisał Kaczkowski — bo każdemu się zdawało, że coś lepiej zobaczył i rozróżnił od innych, potem Pol zabrał głos i wyzywał nam, i opowiadał, gdzie leżą i jak wyglądają wszystkie ziemie Rzeczypospolitej Polskiej...”

O kontaktach poety z tutejszymi konspiratorami świadczą liczne

wzmianki w jego pamiętniku i w listach. Mowa tu o Janie Rudzkim z Kolbuszowej i Ksawerym Krasickim z Leska. Szczególnie zaś cenna jest pod tym względem zapiska poety z roku 1838, kiedy wyjeżdżał do Francji: „Z Zapalowa piszę do Kulczyńskiego, który na swoją rękę prowadził stosunek z Konarskim (...) Z Zapalowa do Sieniawy, do Jaworskiego Ksawerego. Z Sieniawy przez Czarną do Trzciany do

ją się już fizjonomią tej krainy. Najwydatniejszym jednak rysem okolic Krosna, najmocniej pociągającym ku sobie moje oczy i serce były zwaliska Odrzykonia (...) Kilka dni już upłynęło od przybycia mojego w okolice Odrzykonia, a nie mogłem zwiedzić zamczyska. Odległość, czas dżdżysty i inne przeszkody oddalały ode mnie rozkosz tej pielgrzymki. A tymczasem widmo zwaliska po całych pięciu dniach prześladowało. Panując wzniosłym położeniem nad okolicą, zdawało się z każdej strony zachodzić mi w oczy. Nie było zmiany cienia i świa-

„Król zamczyska”, będąc powieścią osnutą na tle wspomnień galicyjskich ich autora, jest równocześnie, jak większość utworów polskich poetów romantycznych, dziełem politycznym, wyrażającym ideologię Goszczyńskiego z okresu emigracyjnego. Ominięciu działania cenzury przyszła autorowi „Króla zamczyska” w sukurs mglista i pełna aluzji politycznych konwencja romantycznej powieści poetyckiej. „Król zamczyska” należy do częstych w tym okresie poematów ruiny, które pod symbolem — czy jak kto woli — alegorii zamkowych

w „Królu zamczyska” biografia Machnickiego, jak i włożona w jego usta opowieść o jego królestwie, są jakby upostaciowaniem poglądów ideowych Goszczyńskiego.

Postać Machnickiego, obłąkanego króla i miłośnika ruin odrzykońskich jest również sędzią Polski szlacheckiej.

Ażby bohatera utworu wyposażać w krytycyzm wobec swojej warstwy, musiał Goszczyński dokonać retuszów autentycznej biografii Machnickiego. Z chłopca, który był później urzędnikiem austriackim uczynił go poeta szlachcicem, aby mógł łatwiej apelować do sumienia szlachty. Krytycznemu spojrzeniu na tę warstwę pomaga Goszczyńskiemu obłąkanie Machnickiego i zjawiająca się w jego opowieści postać Stańczyka, którego sądy autor utożsamia z wypowiedziami zwariowanego mieszkańca Odrzykonia. Ow sąd autora nad Polską szlachecką jest tym boleśniejszy, że włożony w usta wariata. Korzystając z prerogatyw modnej ironii romantycznej tylko „wariat” Machnicki zareagował na upadek Rzeczypospolitej, w przeciwnieństwie do szlachty, która pogodziła się z utratą niepodległości. On także jako obłąkaniec jest jedynym patriotą i gani Polskę szlachecką, wierzy jednak w jej niepodległość, demokrację i republikanizm.

W ten sposób zrodzona zasłyszana przez Goszczyńskiego o „Królu zamczyska” miejscowa legenda oraz roztaczająca z Łopiennika i z ruin odrzykońskiego zamku wizja Polski przestrzennej przekształciła się pod piórem poety w wizję jej przeszłości i przyszłości. Temat regionalny został tu tym samym wciągnięty w służbę literatury narodowej.

ALEKSANDER ŻYGA

SEWERYN GOSZCZYŃSKI W ODRZYKONIU

Rogalińskiego. Z Rogalińskim do Trzeciejskich pod Jasłem. Rogaliński żegna się śród drogi. Nocuje u Kochanowskiego Adama, stamtąd z Adolfem Tetmajerem nad Wisłokę do szlacheica, (którego nazwiska nie pamiętam). Po kilkunastu dniach Tetmajer odwozi mię do Strzyżowa, do Juliana Gorczyńskiego, który wspólnie z Brandysem zajmuje się moją wyprawą do Francji”.

Najdokładniej jednak znane są z wędrowek Goszczyńskiego po Rzeszowszczyźnie odwiedziny Odrzykonia i spotkanie z Machnickim. Odnosił je inny przyjaciel autora „Zamku kaniowskiego” z tych czasów, również poeta i pamiętnikarz, Ludwik Jabłonowski: „W roku 1833 zawiozłem tam (do Odrzykonia) Goszczyńskiego, którego natchnął „Królem zamczyska”. Był to niski urzędnik królewskiego miasta Krosna, mały, chudy, łysy, w siwej kaptocie, całkiem nieszkodliwy — pisał o królu Odrzykonia Machnickim — chadzał w odwiedziny po dworach i nawet wiersze składał (...) Takie poetyczne utwory zwykle lubrykał pisał po ścianach zamku, lecz gdy był w dobrym humorze, chętnie deklamował”.

Działalności konspiracyjnej Goszczyńskiego w Galicji towarzyszyły stałe „Krajoznawstwo”, ludoznawstwo oraz pisanie poezji. Ślady tego widać w powstałych pod natchnieniem ruin Odrzykonia „Królu zamczyska”. „Pod takim bodźcem, przebiegając wzduż i wszerz Galicji — pisze tu Goszczyński — znalazłem się w obwodzie jasielskim, w okolicy Krosna, nad brzegami Wisłoka. Nie każdemu zapewne z moich braci wiadomo, że Podgórze galicyjskie ukrywa miejsca najpiękniejsze w Polsce: trochę więcej oświata, trochę więcej dobrego bytu między mieszkańcami, korzystniejsze co do położenia względem innych krain, a miałyby niepoślednią w Europie głośność. Obwód jasielski, a mianowicie brzegi Wisłoka, od jego źródła aż do Pilzna, odznacza

cia, w której bym go nie widział; nie było fantastycznej postaci, której by nie wywołało w mojej wyobraźni”.

Jak wynika z relacji pamiętnikarskiej Ludwika Jabłonowskiego oraz z opisaną w „Królu zamczyska” sceny poznania Machnickiego przez poety w jednym z pobliskich dworów koło Krosna — wycieczką do Odrzykonia przedsięwziętą Goszczyński prawdopodobnie z dworu hr. Leona Grzymały Jabłonowskiego, właściciela Krościenka Wyżnego. Tak więc, jak kilkanaście lat temu wertowane tu przez Aleksandra Fredrę dokumenty z dziełow zamku odrzykońskiego dały komediopisarzowi asumpt do napisania znakomitej „Zemsty”, odwiedziny Goszczyńskiego u krewniaka komediopisarza oraz widok z ruin Odrzykonia podsunęły mu pomysł napisania „Króla zamczyska”.

Przebywając w okolicach Krosna zbierał poeta skrzętnie wiadomości dotyczące zamku odrzykońskiego. Czerpał je od towarzyszy, z którymi obcował, głównie od miejscowej szlachty, narzekając, jak małą przywiązuje ona rolę do legend na temat swoich dzieł. Te również środowiska były dostarczycielami wiadomości do biografii przedstawionego w „Królu zamczyska”, „ostatniego króla” na Odrzykoniu, „wariata” Machnickiego.

Zebrał w okolicach Krosna legendy o zamku odrzykońskim, spotkanie z Machnickim, poglądy polityczne, będące konsekwencją kilkuletniej działalności konspiracyjnej w Galicji — stanowiły dla Goszczyńskiego materiał, który posłużył do napisania „Króla zamczyska”. „Napisałem (...) powieść do syć dużą z moich wspomnień galicyjskich — pisał w 1840 roku — Bohaterem patriotą — wariat, osoba rzeczywista, żyjąca jeszcze przed kilku laty, mieszkaniec odrzykońskiego zamku, za czym zupełnie się w grzyby rozsypał. Napisałem ją tak, że może być drukowana w kraju, przynajmniej w Poznańskim”.

ruin ukrywały głębszą treść polityczną. Ruiny zamku odrzykońskiego symbolizują w ujęciu poety upadek Polski szlacheckiej. Reprezentantem poglądów autora jest w powieści główny bohater utworu „wariat” Machnicki, którego Goszczyński kreował na ostatniego króla Odrzykonia. „Celem niniejszej powieści — podkreślał on — nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną osobą nie ja, lecz król zamczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na którym by przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiej, jak najdobitniej”. Nakreślona

Złe klimaty

(Ciąg dalszy ze str. 1)

biłotek nie trzeba było długo czekać.

Podczas, gdy w roku 1960 czytelnictwo w bibliotekach wiejskich w Krośnieńskim wahało się w granicach piętnastu procent w stosunku do liczby mieszkańców, można było jeszcze mówić o pewnych osiągnięciach, gdyż średnia wojewódzka była wtedy niższa o ponad trzy procent. Dziś sytuacja jest zupełnie inna. Powiat krośnieński ma najniższy wskaźnik czytelnictwa w skali wojewódzkiej, niższy prawie o pięć procent od przeciętnej wojewódzkiej.

Powie ktoś: liczby, zestawienia, statystyka. To mało przekonujące. Być może. Ale chciałbym czytelnika poprosić o trochę współpracy.

W jaki sposób podzielić 5.493 nowości książkowe pomiędzy 17.800 czytelników? Co może zrobić biblioteka gromadzka mająca u siebie ponad czterystu czytelników, jeśli z ogólnego podziału przypadnie dla niej w ciągu roku 124 książki? 124 dzielone przez cztery kwartały daje trzydzieści jeden książek na kwar-

tał, czyli dziesięć na miesiąc. Ale wyliczenie to w przypadku Krosna jest tylko teoretyczne. Przecież jest rzeczą wiadomą, że przez szereg miesięcy Biblioteka Powiatowa miała do swojej dyspozycji na zakup książek tylko 34.000 złotych, a za te pieniądze przy aktualnej cenie książki na rynku można kupić ile, tydzień, półtora tysiąca pozycji?

To prawda, że pod koniec roku w wyniku sesji Powiatowej Rady Narodowej biblioteki otrzymały dodatkowe środki na zakup książek, ale w zasadniczy sposób sytuacji już to nie zmieniło. Zaniedbań kilkuletnich nie odrobi jednorazowa, słuszną i mądrą decyzją.

Na spotkaniu w Korczynie jeden z miejscowych działaczy tłumaczył nam, że nieprzyznawanie środków na zakup książek ma swoje źródło w tym, że duża liczba mieszkańców wsi i miast ma swoje prywatne biblioteki...

Na pewno jest w tym sporo racji, ale przecież kupowanie książek to nie tylko hobby świątecznych rolników na Podkarpaciu... Wdzieliłem takich w Sanockim, w Jasielskim, pod Tarnobrzegiem, ale nikt z nich nie twierdził, że zwalniana z obowiązków zaopatrywania bibliotek swoje rady narodowe...

Padło na spotkaniu w Korczynie stwierdzenie, że w ostatnich latach ukształtował się w Krośnieńskim zły klimat dla bibliotek i książki. Nie sądzę, by było to bezpośrednie skojarzenie z nieopaloną zimną salą korczyńskiego Domu Strażaka, w jakiej prowadzono na ten temat dyskusję.

To właśnie w Krośnieńskim najwięcej bibliotek w skali wojewódzkiej mieści się w pomieszczeniach niesamodzielnych. Na 36 placówek bibliotecznych w województwie zajmujących wspólne pomieszczenia z innymi użytkownikami, jedna trzecia jest właśnie tutaj.

Miejska Biblioteka Publiczna w Krośnie jest jedyną placówką w skali wojewódzkiej, która nie ma czytelnicy z prawdziwego zdarzenia, a jej obecne pomieszczenie zaliczyć można do jednego z najgorszych tego typu ze wszystkich miast powiatowych.

Trudno zgodzić się ze stanowiskiem kierownika Wydziału Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, Władysława Czajewskiego, który po kilkunastu dniach krytycznej analizie sytuacji kulturalnej powiatu krośnieńskiego, dokonanej przez kilkunastu dyskutujących stwierdza, że wyjazdowe posiedzenie komisji odbyło się właśnie tu, gdyż jest to powiat p r z o d u j ą c y.

Słuchaliśmy tych słów ze zdumieniem. A może b y ł przoduający? O teraźniejszości tego przecież powieździeć nie można! Czy nie zbyt łatwo „rozgrzesza się” kilkuletnie zaniedbania?

A może z tą pozytywną oceną trzeba nieco poczekać, nim ujawnione braki nie zostaną usunięte?

— Dupois! Ależ to wspaniałe! — Barbara klasnęła w dłonie. — To sława. Profesor — wyjaśniła Szymańskiemu.

Jarecki był już w płaszczu. Z najwyższym pośpiechem wsuwał do kieszeni odświętne krawaty.

— Niestety — mówił — zajmie mi to trochę czasu. Zabawiaj naszego gościa. Postaram się wrócić jak najszybciej. —

Nie było go w mgieniu oka. Szymański opowiadał Barbarze o Jeziorach Mazurskich, potem oglądali program telewizyjny. Na dworze był wieczór. Godziny płynęły niepostrzeżenie. Barbara dwukrotnie biegła do telefonu. Na karnecie notowała wezwania dla męża.

— Staszek będzie jeszcze musiał tam pójść: do pani Lefranc i do państwa Massippe — zakomunikowała gościowi.

Szymański skinał tylko głową. Było już dość późno, gdy Jarecki zadzwonił z miasta. Barbara przekazała mu treść telefonów, jakie odebrała podczas jego nieobecności. Powiedział, że wrócił do domu już po tych wizytach.

Gość zjadł wobec tego kolację z gospodynią. Kiedy kroki Staszka dały się słyszeć w przedpokoju, Szymański był już w pidżamie. Zauważył, że jego przyjaciel ma sińce pod oczami.

— Dała ci szkołę ta niedziela — stwierdził ze współczuciem w głosie.

— Jak każdy dzień. Zapewniamsię, że są takie dni, w których nie mam odwagi podnieść się z łóżka. Żyję jak wół w kieracie. I żeby to jeszcze miało jakiś sens! Taka pani Lefranc na przykład ma katar i 36,8° „gorączki”. Co mam jej powieździeć? skarżył się Jarecki.

— Nie wiem. Mógłbyś ją posłać do diabła! — oburzył się Szymański.

— Straciłby wtedy połowę pacjentów — odparła w zastępstwie męża Barbara.

W nocy gość nie mógł spać. Przewracał się w wyznaczonym mu pokoju, ale sen nie nadchodził. Z pierwszej drzemki wybił go najpierw późny powrót Wiesi, następnie jeszcze późniejszy Jurka. Gdzieś około drugiej słyszał, jak Staszek zrywa się do telefonu z powodu pani Lefranc która zakomunikowała mu, że nie może zmrzyć oka i ma 36,9°. Musiał tej damie żmudnie wyjaśnić na czym polega istota jej choroby. Czynniki to łagodnym, pełnym perswazyjnym tonem. Zapewnił, że z samego rana złoży jej wizytę. Dopiero potem, gdy odłożył słuchawkę, zaklął dosadnie i ciężko, jak ongiś w ich wojskowych czasach.

Szymański doczekał się wreszcie brzasku dnia. Po wyjściu z łazienki zastał swych przyjaciół już ubranych. Staszek był gotów do pracy.

— Wybacz stary, że muszę już lecieć, ale zaczyna się nowy dzień. Barbara odprowadzi cię na lotnisko. Uściśnij tam swoich i nie zapomnij o nas. Możesz przecież zbroczyć czasem z twoich szlaków! — wyrzucił z siebie szybko lykając kawę.

Padli sobie w ramiona. Po chwili Szymański obserwował przez okno jak jego przyjaciel biegnie do swego czarnego peugeota — 403 ze znakiem kadyuceusza oraz napisem „Medecin” i po drodze zapina płaszcz.

— Najważniejsze, że dobrze nam się żyje — usłyszał za plecami głos Barbary. — Nie mamy trosk materialnych.

Nie odpowiedział. Przeszedł do pokoju, aby się przygotować do podróży.



rys. J. Sienkiewicz

ROZMOWY O SZTUCE

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

FASCYNACJA I ZROZUMIENIE

„...nigdy nie wierzyłem w straszak elitarności moich programów. Chyba, że elita nazwiemy ludzi myślących, uważnych i wrażliwych...”

ADAM HANUSZKIEWICZ

K: Wszystkie teatry odwiedza rocznie 8 milionów widzów; dołożył do tej liczby 10 milionów widzów oglądających każdy spektakl teatru telewizyjnego — dysponujemy potężną armią ludzi „skazanych” na teatr. I musimy powiedzieć sobie od razu, że mówimy o jednej z najstarszych sztuk, najbardziej chyba komunikatywnej, najłatwiejszej w przekazie, najszerzej rozumianej, nierozdzielnie związanej z epoką. Dość długo przywykło się utożsamiać teatr z aktorem; myślę, że dziś to przekonanie się rozchwiało i widz dostrzega teatr w całym kompleksie jego działania, dostrzega jego styl, indywidualność reżysera i scenografa, słowem — nadrzędność kierownictwa artystycznego. Czy Pan, Panie Henryku, jako aktor solidaryzuje się z takim widzeniem teatru?

H: Naturalnie, zawsze widziałem teatr jako zespół, bo zawsze rządziła w nim zespołowość. Chodzenie do teatru na aktora jest sprawą wtórną, choć ci właśnie aktorzy robią dużo dobrego dla macierzystego teatru.

K: W tak rozumianym teatrze aktorstwo staje się jednym z elementów wielkiej całości, jaką jest spektakl...

H: I dodajmy — elementem nie najnowszym...

K: Ach, z tym zgadzamy się na pewno wszyscy, zwłaszcza ci, co do dziś „chodzą na aktora”. Spróbujmy jednak powiedzieć najpierw o samym teatrze i dramacie. Uczestnictwo widza w spektaklu polega w dużej mierze na podglądaniu życia, stworzonego przez literaturę. Sama literatura jednak, konkretnie dramat, bez teatru byłaby literaturą bez komentarza, bez interpretacji; dramat rządzący się własnymi prawami estetyki i zawierając idee, myśli, całą filozofię faktu wymaga dopiero pomocy ludzi teatru, którzy z tego kłębówiska idei i myśli wybiorą nadrzędną, najistotniejszą i konsekwentnie podporządkowując jej fabule dramatu doprowadzą do finału.

Mówię o dobrym dramacie, a myślę o każdym teatrze, bo nie lubię określenia generalizującego teatru na złe czy dobre; czuję w nim fałsz.

Dlaczego tak się dzieje, że jedną sztukę teatr wystawi świetnie, inną — poniżej przeciętności. Co decyduje?

H: Wydaje mi się, że najpierw styl danego teatru. Jeśli z konieczności jest on eklektyczny, a więc różny, wtedy zawsze jeden typ sztuk bardziej „leży” w możliwościach teatru, inny zupełnie od nich odstaje — a sztuka musi być grana. Poza tym sprawa obsady: jeżeli rola mieści się w psychice aktora — powinna być dobra. I rzecz najważniejsza wreszcie — sama koncepcja reżyserska, jej zrozumienie przez zespół grających. W ogóle indywidualność kierownika artystycznego decyduje w dużej mierze o jakości teatru.

K: A jeżeli pytanie zawężymy, uczynimy je bardziej osobistym: co decyduje, że ten sam aktor potrafi zagrać znakomicie i bardzo źle?

H: Wrócę do psychiki aktora. Nie jest ona zbyt bogata, ale jest bardzo skomplikowana.

K: To trochę zawiłe, proszę o wyjaśnienie...

H: Każą nam grać wszystko: chuligana, kata, anioła — nie ma aktora o tylu wcieleniach, bo brak mu właśnie na nie bogactwa danych psychicznych i stąd niektóre z tych wcieleni przepadają. Skomplikowana psychika wiąże się znowu z tym, że w każdym aktorze drzemie ochota zagrać rolę, na którą brak mu możliwości. I tu aktor — jest w sprzeczności z samym sobą.

K: Ale, nie sądzi Pan, że gdyby aktor grał wszystko — na co ma ochotę — byłoby o wiele więcej pomysłów i położeń ról?

H: Wiem o tym, tak jak wiem o braku samokrytycyzmu wśród aktorów: mało który ma odwagę przyznać się, że jego psychika nie jest zbyt bogata.

K: W takim razie pytanie „stojącej z boku”: widziałam Pana w roli inżyniera w sztuce „Ktoś nowy”. Odniosłam wrażenie, że czuł się Pan zakłopotany tą rolą — nijaką powiedzmy to sobie szczerze. Ale przecież zwykło się mówić, że nie ma złych ról, są tylko źli aktorzy.

H: Nie zgadzałem się z postacią Teklińskiego — kontrpartniera Kukuly, ustawioną na zawiści wobec rówieśnika, ustawioną na płaszczyźnie czarnego charakteru. Staralem się stać „obok postaci” i zrobić ją li tylko w ramach tekstu. Uboga postać, w którą nie wierzyłem.

K: A więc grał Pan wbrew sobie? Czyli założenie a priori, że nic z tego, co Pan robi nie wyjdzie dobrego. Dlaczego Pan więc grał?

H: Dewizą teatru jest, że aktor musi grać wszystko. Aktor się z tym nie zgadza. Ale nieraz to dobrze, bo na aktora pracuje czas — a więc nawet pomyłki wzbogacają jego dojrzałość. Poza tym talenty w teatrze trafiają się rzadko i ostrogi aktorskie zdobywa się przeważnie grając wszystko.

K: Wracając jednak do popularnego stwierdzenia, że nie ma złych ról, musimy założyć, że nie ma ich tylko wtedy, gdy mamy do czynienia ze znakomitym dramatem.

H: Chyba tak.

K: Gra Pan obecnie Szczęsnego w „Dramacie bez tytułu”; rola pasjonująca, gra Pan ją ciekawie, czy więc ta rola leżała w Pana psychice?

H: Początkowo wydawało mi się niemożliwością grać Szczęsnego. Jestem człowiekiem współczesnym i współczesność mnie zawsze fascynuje najbardziej. Nigdy nie przypuszczałem, że właśnie mnie teatr powierzy Szczęsnego i przyznam się, że po takiej decyzji ponęty tej roli byłoby zbyt wielkie, by ją odrzucić.

K: Choć obcość tej postaci przerażała?

H: Z początku na pewno. Kiedy jednak wziąłem się do rozszyfrowywania Szczęsnego i przeanalizowałem wahania i różnorodność postaw, te ciągłe pytania „kim być”, „jak stać” — wszystko stało się bardziej jednoznaczne i wyrzuciło ku mnie rozdarcie psychiki zupełnie współczesnego człowieka. Zdecydowałem,

że nie rozumiem polityki; z Hamletem nie jest sprawa tak bardzo prosta. Samo sformułowanie „polski Hamlet” nadaje postaci inny wymiar i oznacza li tylko hamletyzowanie nie poparte czynem, który w „Hamlecie” Szekspira tak konsekwentnie określa postać. Ale już zupełnie trudno mi się zgodzić, że Szczęsny nie jest postacią tragiczną. Nie idzie mi tutaj o wywód krytyczny, bo nie pora nań; raczej o nawrót do tematu, jak rozumie sztukę i bardzo proste podkreślenie, że nie ma w niej jednoznacznej interpretacji, nie ma zgody w opiniach, nawet jeśli się ją rozumie, granice komentowania jej są ciągle płynne. Pan oczywiście ma własną, trzecią w tej chwili opinię o Szczęsnym?

H: Nie tylko ja, ale chyba każdy. Oczywiście, że zgadzam się z panią: Szczęsny dla mnie jest postacią tragiczną i wyobrażam sobie, że najbardziej ulubioną jego lekturą był właśnie „Hamlet”, z którego zapożyczył pozę do własnych racji. Ale kiedy uczestniczyłem w spotkaniu z młodzieżą z liceum ogólnokształcącego orzekł, że podoba im się Szczęsny, właśnie jego postawa, pełna buntu wobec otoczenia, bardzo własna, podoba im się całe to chojractwo intelektualne Szczęsnego — fascynuje ich.

K: A więc znowu Inaczej! Czy admirowanie przez młodzież owej postawy sprzeciwu, tej fanfaronady, odwagi pozostawania sobą, choć bardzo zrozumiałe właśnie u niej, nie jest niebezpieczne w swojej jednoznacznej interpretacji? Czy właśnie ta odwaga, która polegała tylko na sformułowaniu, to nie największa słabość Szczęsnego?

H: Nazwałbym to świadomą ucieczką w krainę myśli...

K: Obojętne jak to nazwiemy, słabość postaci zagubionej w tle epoki pozostaje. Hamlet okupuje swoje szaleństwo myśli realnym czynem i ginie; Szczęsnego, który od-



ZOFIA MROZOWSKA — jako Ifigenia w „Taurydzie” Goethego

K: Ale nie idzie mi o fascynację, którą zobaczył Pan właśnie w rozmowie z licealistami, tylko o zrozumienie przez widza dramatu, jego idei i komentarza, jaki do niej daje teatr.

H: To jest trudne. Przywiązałbym się raczej do tego słowa „zafascynowanie”. Aktor musi wierzyć w inteligencję widza.

K: Ale czy Pan wie, że widz dość często tak widzi sztukę, że zostaje z niej fabuła, a przepada cała filozofia i widzi ją tak mimo wasze wysiłki. Tu przed aktorem stoją nieograniczone możliwości przekazu. Tym bardziej, że reprezentuje sztukę, która jak żadna inna staje się tym bardziej zrozumiała, im jest lepsza.

H: W tym rozmięciu się naszych intencji z odbiorem przez publiczność leży największy smutek, ale śmiem twierdzić, że widz, którego porwało choć jedno przedstawienie wróci do teatru i... jego myśleniu zostawiam resztę.

K: No tak, powiedział Pan, że aktor musi wierzyć w inteligencję widza... Czy interesuje Pana środowisko, w jakim przyszło grać, czy wpływa na Pańską grę małe miasteczko, tzn. czy narzuca obowiązek pamiętania o tym dla kogo się gra, nie kogo się gra, czy narzuca odrębny styl i interpretację postaci?

H: Aktor jest stale narażony na różną publiczność. Im mniej ona skomplikowana, tym większa jego mobilizacja, by nie rozproszyć jej i tak nikłej uwagi i poprowadzić ją konsekwentnie do końca.

K: To rodzi dystans. Dodatkowo — kontrolowanie reakcji?

H: Tak. Narzuca inne tempo grania.

K: Myślę, że to negatywne zjawisko dla aktora, polegające na gubieniu właściwej interpretacji, choć dla publiczności szalona pomoc? Jakiś rodzaj podpowiadania widzowi?

H: Tak. Ambicją bowiem aktora jest, żeby spektakle i tam były bliższe normalności. I choć przywołuje na pomoc inne środki aktorskie, czasem musi zastąpić scenografię, zamiast szukać w niej podparcia, wie, że to jest zło konieczne. Gra się dla konkretnego widza.

K: Zofia Mrozowska wyznała kiedyś, że w początkach swej kariery była zafascynowana własną łatwością wcielania się w rolę, ponosiła ją rola; dziś, gdy wzbogaciła niepomniernie warsztat, rodzi się w niej o wiele większy strach: strach przed rutyną, przed niedoskonałością. Myślę, że w każdym aktorze ten strach drzemie. I jest w tym sprzedawaniu prawd własnych obcym ludziom coś bardzo szczególnego, co jest chyba najpiękniejsze w aktorstwie — dobrym aktorstwie. Coś społecznikowskiego.

H: Aktor nigdy nie kończy budować roli. Nigdy jej nie zamyka. Nigdy nie ma przekonania, że powie wszystko. Jest w nim ciągła gotowość do łamania się z postacią. Chce przy tym czuć się potrzebny — ta gotowość jest powszechna. Jeśli

zostanie wytrącony z rytmu (nie gra dłużej czas), rodzi się w nim wielkie osamotnienie. My, młodzi, głosimy stały kult dla Osterwy — tego największego ze społeczników, który chciał obdarowywać sztuką za darmo każdego; dźwignąć teatr na wyżyny.

K: A więc rzucamy hasło: teatr — sztuką lubianą i żeby już zakończył rozmowę jeszcze Pana zapytam o Wasz stosunek do krytyki. Ażebymy mogli się pośmiać sparafrazując słowa znanego krytyka i pisarza Jacka Frühlinga, że krytyk dla teatru zawsze jest niemły: kiedy chwali, zawsze nie dość chwali; kiedy gani — na niczym się nie zna. Czy tak?

H: Surowy dla siebie był Frühling. Krytyk dla teatru jest zawsze raczej intruzem, bo osmiela się wchodzić w naszą pracę ze swoimi ocenami.

K: To znaczy osmiela się mieć własne zdanie?

H: I to subiektywne...

K: Krytyka jest zawsze subiektywna!

H: Ale my mamy prawo tego wtrącania się do postaci nie lubić. Aczkolwiek, po cichu, krytyk aktorowi pomaga; on jeden odważa się mu szczerze powiedzieć o jego błędach. A gdy chwali — no... to on jeden się pozna!

K: Dowcipne i szczerze — życząc Panu krytyków chwalebnych, a może lepiej ról znakomitych?

H: Obydwa życzenia jednak pozytywne. Dziękuję.

ROZMAWIALI:

HENRYK GOŃDA

i
KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

HENRYK GOŃDA jako Szczęsny w „Dramacie bez tytułu”.

że tę rolę może grać każdy aktor, któremu nieobce są pytania o własną postawę w życiu.

K: Kott kiedyś napisał, że Szczęsny nie jest ani Hamletem, ani postacią tragiczną, ani rewolucjonistą szlacheckim — jest tylko genialną próbą dramatyczną 25-letniego chłopca. Dla mnie jest oczywiście, że Szczęsny rewolucjonistą nie był na pewno, kiedyś napisałam wię-

rzucił czyn, nie uratować nie może. Tragiczna postać. Ale żaden wzór.

H: Przyjmijmy, że to mógłby być wzór na odwagę myśli w konflikcie pokoleń.

K: Gdzieś musi być zgoda, więc przystaje. Ale nasuwa mi się pytanie od razu: czy teatru można nauczyć?

H: Niezbędne wydaje mi się zafascynowanie widza teatrem,

Nieznana powieść Kuechelbeckera

W jednym z radzieckich archiwów odnaleziono ostatnio rękopis powieści Wilhelma Kuechelbeckera (1797—1864) pt. „Ostatni Colonna”.

Dzielnik rewolucyjny, uczestnik powstania dekabrystów, był Kuechelbecker utalentowanym poetą i prozaikiem. Przypomnijmy wreszcie o serdecznej przyjaźni, łączącej w latach szkolnych „Kuchle” z Puszkinem. Z dorobku pisarskiego Kuechelbeckera opublikowano dotychczas trzy opowiadania — „Aldo”, „Ziemia bezgłowych” i „Obłędnie miasta Obigny”. Z korespondencji Kuechelbeckera wiadomo, że w czasie 10-letniego pobytu w twierdzy szlisselburskiej przygotował do druku 3 powieści. Jedną z nich obecnie odnaleziono.

Nieznany list Marcela Cachina do Brunona Jasińskiego Czyli jak powstała powieść „Człowiek zmienia skórę”

(Od stałego korespondenta AR w Moskwie)

Dwaj historycy, z Duszambe, Aleksander Wiszniewski i Wiktor Rudnicki, natknęli się w archiwach tadyżkiej filii Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR na nieznaną list wybitnego działacza francuskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, Marcela Cachina do polskiego pisarza Brunona Jasińskiego.

Ciekawa jest prehistoria tego listu, skreślonego 6 lutego 1929 roku na blankiecie gazety „Humanite”, której Cachin był naczelnym redaktorem. W roku 1928 w stolicy Tadżykistanu, dalekiej i mało wówczas znanej republiki Azji Środkowej, obradowało plenum partii, na którym referat o wynikach VI Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej wygłosił polski rewolucjonista, działacz międzynarodowego ruchu chłopskiego, Tomasz Dąbał, jeden z twórców głośnej „Republiki Tarnobrzesckiej”. Tadżykistan wywarł na Dąbału niezatarte wrażenie nie tylko egzotyką, ale również dynamiką przemian. Tam, gdzie niedawno panował feudalizm, spleciony z przeżytkami ustroju rodowego, przystąpiono do budowy zębów socjalizmu. Zafascynowany Tadżykistanem Dąbał postanowił zapoznać z kulturą tadyżką zachodnią Europę i podzielić się swymi planami z Brunonem Jasińskim, mieszkającym wówczas w Paryżu.

Jeden z inicjatorów polskiego futurizmu, współzałożyciel klubu „Katarzyna” w Krakowie, Jasiński związany był już w tym czasie z rewolucyjną lewicą. Na emigracji wstąpił do Komunistycznej Partii Francji, zorganizował w Paryżu objazdowy teatrzyk proletariacki. Z właściwą mu energią Bruno Jasiński zaczął przygotowywać występy zespołu tadyżkiego w Europie. Mowa była także o zorganizowaniu wyjazdu tadyżkiego zespołu tanecznego do Ameryki.

Starania Jasińskiego poparł Marcel Cachin, który wrócił się do polskiego pisarza, z następującym li-

stem: „Zainteresowała mnie niezwykle Pańska myśl o zorganizowaniu tournée po Europie zespołu muzyczno-dramatycznego, składającego się z przedstawicieli narodów Azji Środkowej, wchodzących w skład ZSRR. Jestem przekonany, że podobna inicjatywa ma ogromne znaczenie, zwłaszcza w chwili obecnej (...). Okaże ona pomoc naszej walce o wyzwolenie 50 milionów mieszkańców kolonii — Murzynów, eksploatowanych przez imperializm francuski”.

Jasiński nawiązał kontakt z przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych Tadżykistanu i dla podkreślenia politycznej wagi proponowanego tournée przesłał jako załącznik do swego pisma cytowany list Marcela Cachina, odnaleziony obecnie w archiwum.

Do występów zespołu tadyżkiego w Europie nie doszło, gdyż Bruno Jasiński wydalony został w roku 1929 z Francji za opublikowanie w gazecie „Humanite” powieści „Pałę Paryż”. Ale zaintrygowany opisem dalekiej republiki azjatyckiej, przekazany mu przez Tomasza Dąbała, Jasiński udał się do ZSRR i wkrótce przybył do Tadżykistanu. Tutaj znalazł temat swojej głośnej powieści „Człowiek zmienia skórę”, wydanej w latach 1933—34 w Moskwie po rosyjsku, a w latach 1935—1937 po polsku.

Zarówno Jasiński, jak i Dąbał padli w latach kultu jednostki ofiarami fałszywych zarzutów politycznych. Jasiński, skazany na 15 lat obozu, zmarł w szpitalu za drutami po ciężkiej chorobie, Dąbał został stracony w roku 1938. Obydwo zrehabilitowano po XX Zjeździe KPZR.

W Tadżykistanie imiona Tomasza Dąbała i Brunona Jasińskiego otoczone są wyjątkową czcią i szacunkiem. Prace tamtejszych historyków zmiernają do szczegółowego odtworzenia historii związków wybitnych polskich komunistów z republiką tadyżką, której obaj przepowiedzieli wielką przyszłość.

RYSZARD BADOWSKI



Ponad 94 proc. amerykańskiej produkcji telewizyjnej związane jest z trzema wielkimi przedsiębiorstwami: NBC, CBS i ABC, które za miliony dolarów sprzedają czas telewizyjny wszelkim firmom handlowym. Za reklamę cygar czy samochodów powstają całe audycje, filmy i koncerty, zaczynane, przerywane i kończone natrętnym wzywaniem, że „tylko cygara marki Parkinson są najlepsze dla zdrowia”. A czas telewizyjny jest cenny, bardzo cenny nawet i zależy od pory dnia, od nasilenia sieci odbiorców. W teorii wielkie firmy robią znakomite audycje i ponoszą wszelkie koszty imprez, w praktyce — proporcje są wyważone do miligramu: część reklamowa musi przewyższać działalność czysto oświatową, na którą składają się wyłącznie dary i subwencje. CBS czyli Columbia Broadcasting System, która powstała w 1927 roku słynie od dawna ze znakomych programów oświatowych. Jeden z nich zakupiła Polska Telewizja i w ubiegłym roku rozpoczęła jego transmisję w odcinkach. Nosi on tytuł „Arcydzieła muzyki prezentuje Leonard Bernstein”.

Nie znam lepszej audycji, nie wyobrażam sobie lepszego nauczyciela, którego wszechstronności, urokowi i wdziękowi zawdzięczają te programy popularność niestychaną. Kiedy Bernstein wystawił w telewizji amerykańskiej dla młodzieży „Carmen” Bizeta, sam nie tylko prowadził orkiestrę, ale sam grał pewne partie i wyjaśniał dramata — krytyk New York Timesa napisał o tym programie: „Była to nie opera, ale odczyt w połączeniu z recitalem”.

Talent pedagogiczny tego dyrygenta jest ogromny, a sława tej audycji — ugruntowana i dlatego cieszyć się należy, że jego cykl prezentacji arcydzieł telewizyjnych do-

tarł do Polski. Cóż z tego jednak, kiedy gros odbiorców telewizyjnych nie bardzo wie, kiedy można będzie go obejrzeć, nie bardzo może śledzić te audycje o rzadkiej częstotliwości. Wydaje mi się, że taka forma cyklicznej audycji, która pojawia się raz na miesiąc traci walory oświatowe na rzecz przypadkowości; rozrywa cykl na poszczególne audycje — frapujące, ale mało przynoszące pożytku. Już trzeci odcinek cyklu, który właśnie przypadł na ubiegły tydzień zajmuje się nader złożonym i szerokim zagadnieniem, które Bernstein nazwał: „Dlaczego muzyka jest symfoniczna”. Przerwany po wyjaśnieniu czym jest kontrpunkt, sekwencja i rozwój utworu muzycznego, tym razem zamykał je analizą II Symfonii Brahmsa, analizą szczegółową, które w finale przyniosły piękny koncert całosci. Telewidz, który zgubił poprzednie odcinki, nie rozumiał z tego za wiele, bo program był chyba z tych najtrudniejszych, odbiegał nieco od pierwszych, najszerzowanych trickami, swobodną interpretacją, sztuczkami maga, który z czarodziejską umiejętnością, poprzez własne różnorodne umiejętności, porwuje młodocianą widownię.

Nasza telewizja zaprzepaszcza ten cykl, który nadaje się jako cotygodniowe pół godziny genialnej interpretacji muzyki o stałej porze, dobrze zarekomendowane. Nadaje się przy tym jako cykl dla szkół od pierwszoklasistów po maturalistów, na który kierownicy sprawozdali by uczniowie do sal telewizyjnych z poczem, że audycja ta jest najlepszą lekcją kultury muzycznej.

Cykl dobiega końca. Powtórzyć go już sensownie jest rzeczą samej telewizji — oby nie przegapiła okazji! Bo dużo jeszcze, nawet bardzo dużo wśród młodych i starych, ludzi z rozdeptanym uchem przez nosorożca — jak zwykła mawiać z żalem znajoma mi młoda poetka.

W inaugurację obchodów Tysiąclecia włączyła się TV z pierwszym programem z cyklu poświęconego polskiej myśli i kulturze Tysiąclecia, a zatytułowanym „Wit Stwos”. Świetna audycja, na którą złożyła się znakomita recytacja pięknego poematu Gałczyńskiego o tym samym tytule i niejako rozłożony na części ołtarz starego mistrza. Praca kamery uważam współgrającą z tekstem, ilustrując wszystkie piękności jednego z najdoskonalszych pomników naszej kultury oraz spżizowe słowo mistrza Idefonsa, podane z maestrią przez Siemionę, postawiły tę audycję w rzędzie najlepszych. Jeśli cykl będzie w dalszym ciągu równie pomysłowy, jak jego inauguracyjna częśćka — zwracam nań Waszą szczególną uwagę.

Korysty ma

P.S. Pan Bolesław Kielski, który prowadzi od lat teleturniej „21”, doprawy wyczerpał moją cierpliwość! Czyż nie wie on — „mistrz” od teleturniejów, że polegają one na szybkości, tempie, dynamizmie? Czyż musi przedłużać je własnym, niezbyt sprawnym, bom zbyt uprzejmym, by nazwać je arcynudnym, przewlekaniem pustych zdań, wręcz celowym odbieraniem czasu właściwym uczestnikom? Jego prezentacje, retoryczne zwroty i powolność odbierają tej sympatycznej skądinąd audycji cały urok i zatraca ją właściwy sens teleturnieju.

rys. J. Sienkiewicz

K

KALMAN SEGAL

ZWIERZENIA GADUŁY

No i przebrnęliśmy jakoś przez święta i przez Nowy Rok, i świetnie się w 66 roku czuje.

W młodości często stawiałem na 66. Czy wygrywałem? Nie. Raczej przegrywałem. Dwa dwory. Folwark z centryfugą. Posag mojej pierwszej żony nieboszczki. Dwa tartaki, jeden wodny, a jeden rzeczny. Trochę biżuterii rodowej. Jeszcze kilka drobniaków, o których nie warto mówić. No, ale to były inne czasy. Jak człowiek się bawił, to ziemia drżała w posadach.

Dzisiaj już nie gram. Dzisiaj lubię sobie pomedytować. Zastanawiam się nad tym i owym. Na przykład: co to jest czas? Albo: co to jest postęp? Jakże są perspektywy ludzkości? Ku czemu to wszystko zmierza?

A co by było, gdyby człowiek mógł sobie wybrać odpowiednią epokę dla swojej egzystencji? Może nie wszyscy zdecydowaliby się na wiek dwudziesty. Jedni wybraliby wiek XIX, okres wielkich porwów romantycznych. Podróżnikom odpowiadałaby epoka Kolumba, a chuliganom — osiemnaste stulecie, które było wiekiem korsarstwa.

Wydaje się, że dość interesująco mogłoby wypaść życie w epoce Adama i Ewy. Oczywiście, przed wygnaniem z raju. Żyli tam spokojnie, nie mieli długów, nie płacili czynszu za nadmetraż, nie płacili alimentów.

No, ale co tam mówić o mitach, skoro żyjemy w XX wieku. Czas robi swoje, czas działa uszlachetniająco. Każdy koneser, a nawet każdy zwykły kelner powie Wam, jak wspaniale działa czas na przykład na wino. Gdybym Was mógł poczęstować takim, dajmy na to, bokajem rocznik 1914! Trzeba być poetą, i to dobrym poetą, żeby opisać jego smak, jego aromat niezrównany. A kolor! A konsystencja! Niestety, nie dysponuję w tej chwili takimi trunkami. A ten rocznik 1914 był wyjątkowo doskonały. Piłem go dokładnie 50 lat temu. Był jeszcze wtedy bardzo młody.

Jednym kiedyś śniadaniem u księcia Romana Sanguszki w Tarnowie. Podano sery. Miały zapach żołnierskich onucek, nie pranych przez dwa lata pobytu na froncie.

Ale to jeszcze nie był ten najlepszy ser. Księżę miał w piwnicy specjalny gatunek, który leżał przykryty końskim obornikiem od czasów wypraw krzyżowych. Ten specjal był przeznaczony tylko dla koronowanych gości. Dzisiaj świat się zmienił. Nie ma ograniczeń na sery.

Miałem kiedyś działka, który był zwykłym rolnikiem w sanocim powiecie. Poczciwy był i dobroduszny, ale moczymorda i trochę zadziorny. Wciąż tylko sprawiedliwości szukał. Zawsze był z czegoś niezadowolony. Marzył. Podania wciąż pisał, a podpisywał się trzema krzyżami.

Pewnego razu wybrał się do Wiednia, szukał sprawiedliwości u samego cesarza. Chciał go poinformować o sytuacji na wsł. Był suchy rok i ludzie umierali jak muchy.

Kiedy dziadek zjawił się w cesarskim pałacu, Franciszek Józef bardzo się ucieszył. Pogadali sobie, popili, a tak sobie przypadli do gustu, że nawet nie korzystali z tłumacza, choć cesarz nie rozumiał po polsku, a dziadek nie rozumiał po niemiecku.

Rozmawiali więc na migi i mój dziadek zrobił tak dobre wrażenie, że cesarz postanowił ożenić go z własną córką. Dziadek ledwo z życiem uciekł.

Dzisiaj już się takie rzeczy nie zdarzają. Dzisiaj, jeżeli człowiek szuka sprawiedliwości, to wystarczy napisać kilka słów do Dzielnicowej Rady Narodowej i sprawa załatwiona. I nikt człowieka nie zmusza do żeniaczki.

Zapomniałem dodać, że ten dziadek musiał wtedy drażnować pieszo siedem mil do kolei.

A my żyjemy już w epoce sputników. Za kilka lat ludzie będą wyjeżdżać na Księżyc, na wczasy. Jeżeli do tego dojdzie, wyślę żonę, teściową z pieskiem i mojego sublokatora.

Podróże kosmiczne! To jest postęp!

Niestety, nie we wszystkich dziedzinach życia, świat posuwa się naprzód w jednakowym tempie.

Owszem, pasty do zębów używamy teraz więcej niż dawniej, ale tylko w miesiącach letnich, bo wtedy czyszcimy nią obuwie tenisowe. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy, bo postęp to rzecz względna. Mówiąc o postępie, każdy ma na myśli co innego.

Czytałem w gazecie, że do jednej redakcji nadszedł list od jakiejś wdowy ze Szczecina. Ta interesująca kobieta domaga się utworzenia klubu nudystów. Powiada, że bez nudyzmu nie ma demokracji ani postępu.

Coś w tym jest. Znam wielu ludzi, którzy inwestują znaczne kwoty w przemysł alkoholowy i na skutek tego już w połowie miesiąca wychodzą z knajpy goli, jak nudy-

ści. Można by dla nich stworzyć osobny klub. Dlaczego nie?

Według starożytnych Greków nagosć nie hańbi. Sokrates włożył się po Atenach bosy. Wielki Mahatma Gandhi również chadzał bosy. Sprawa Mahatmy nie jest jeszcze wyjaśniona. Może miał nagnoty?

Także w tej dziedzinie czas zrobił swoje. Mamy już dzisiaj środki przeciw odciskom. Wystarczy raz nasmarować i nawet najstarszy odcisk wygląda jak nowy.

W ogóle medycyna robi kolosalne postępy. Mamy doskonałe lekarstwa i genialnych lekarzy. Człowiek z roku na rok czuje się młodziej. Pewnego dnia dowiemy się, że taki a taki znakomity profesor potrafi wyciąć serce świni, psa albo osia i przeszczepić je do ludzkiej klatki piersiowej.

Pomysł jest genialny, choć nie całkiem nowy. W II wieku naszej ery pewien pisarz nazwiskiem Apulejusz, napisał powieść pt. „Złoty Osioł” — o człowieku przemienionym w osia. Przy czym był to najmądrzejszy osioł na świecie.

Tak więc wiele rzeczy już było zadziwiających i wiele jeszcze będzie.

Byłe nam zdrowie dopisywało.



rys. J. Sienkiewicz



Postawy, obyczaje, opinie

CZY PRAWORZĄDNOŚĆ DA SIĘ LUBIĆ?

Praworządność jest to, jak wiadomo, takie współzycie władzy i społeczeństwa, w którym obie strony rygorystycznie przestrzegają prawa. Praworządność zupełna jest więc ideałem nieziszczalnym, podobnie jak małżeństwo idealne, albo szczęście powszechne. Państwa i społeczeństwa mogą się doń tylko zbliżyć, lub odeń oddalać. Na ogół publicyści zrzędują w tym kontekście na społeczeństwo, powiadając, że władza wykazuje więcej woli poszanowania prawa niż ludzie. Gdy już nawet zmniejsza się przestępczość, to ogół kompensuje to sobie zapamiętaniem przechodzeniem przez jezdnię nie po pasach, albo kąpielą w miejscach niedozwolonych. Ale jest i druga strona medalu, kto wie, czy nie istotniejsza.

Gazety wciąż przynoszą wiadomości, do których zdążyliśmy się przyzwyczaić niczym do rodzinnego krajobrazu. Oto okazuje się, że prawo wyznaczone jest łamane w 60 do 80 proc. wnoszonych spraw tego typu. Niemal zawsze wniosek nie był rozpatrzony w przewidzianym prawem (i to ustawą!) terminie, albo wypłaty wynagrodzenia nie dokonano na czas, albo decyzję wydała osoba niekompetentna lub w sprzecznym z prawem trybie. Około 20 proc. aktów administracyjnych i decyzji wciąż jeszcze obraża prawo. Są takie sfery życia, gdzie zgodność z prawem jest wręcz wyjątkiem. Można na przykład przeżyć długie w Polsce życie jako nałogowy kawosz, nigdy nie wypijwszy wywaru zgodnego z recepturą. Niektóre dziedziny usług, np. rzemiosło motoryzacyjne i pralnie (pseudopressowość) kultywują bezprawie obrocie tradycją. Gdyby władze urbanistyczne egzekwowały prawo — w ogóle nie istniałoby dzikie budownictwo, bo trudno zaprzeczyć, że budowa domu, jest faktem mniej ukrywalnym niż proporcja kawowych fusów w stosunku do wody w filiżance.

Pozbieranie pewnej ilości takich faktów do kupy musi powodować refleksję, że przecież wszystkie one razem muszą mieć jakąś przyczynę.

Otóż sądzę, że po prostu jesteśmy tolerancyjni wobec większości wariantów łamania prawa. A to w imię szacunku dla prawa uważanego za nadrzędne wobec pisanego, a zwanego „prawem życia”. Mieści się tu wiele poglądów konkretnych. Na przykład nie jesteśmy na ogół rygorystyczni w wymaganiach, by skrupulatnie trzymano się nawet tych przepisów, które nas bronią, ponieważ przepisy wydają się nam zbyt piękne w zestawieniu z tą praktyką urzędowania, jaką mamy. Nasz nastrój w lot udeziła się drugiej stronie, która chętnie przepis o mocy bezwzględnej zaczyna traktować bardzo względnie: wiadomo, że

tak być powinno, ale też przede wszystkim wiadomo, że nigdzie nie jest aż tak dobrze. Niektóre formy nieuczciwości rozpalają do białości nasze potępienie. Inne zaś nie. Które nie? Ano właśnie te bardziej nagminne. Uważamy bowiem, że w tej lub innej dziedzinie „życie okazało się silniejsze niż prawo”. Gdy ktoś łamie, lub obchodzi prawo pro publico bono, nie dla korzyści własnej, ale powiedzmy, pracując w fabryce dla uzyskania dodatkowych przydziałów surowca reglamentowanego — wówczas najchętniej, nie wnikając w całą złożoność mechanizmu, uznajemy prawo za „nieżyłotowe”, jego zaś łamanie za usprawiedliwione.

Jednym słowem, bardziej jesteśmy miłośnikami „prawa życia” niż normy obowiązującej.

Oczywiście bardzo często prawo istotnie nie przystaje do wymogów życia i, w pewnym stopniu tak zawsze być musi, ponieważ tworzenie praw, to działalność polegająca na ustawicznym doganianiu życia, które je wciąż wyprzedza. Rozsądniejszą na to zjawisko reakcją jest wszakże działanie na rzecz zmiany praw niż sankcjonowanie lekceważenia normy panującej. Ale kiedy prawo nie przystaje do życia, to niekoniecznie „tym gorzej dla prawa”. Ma ono bowiem ambicję przekształcenia życia, modyfikowania go, formowania w inny sposób. Uznawanie, że życie jest i musi być górną — to czynienie prawa bezsilnym w tych staraniach.

Jedną z niewątpliwych przyczyn naszego wyzbytego nabożeństwa stosunku do prawa jest traktowanie każdej normy oddzielnie i dostrzeżenie li tylko jej bezpośredniej treści. Skoro na odpowiedź na podanie zwykło się czekać pół roku, a KPA każe odpowiadać w 6 tygodni, odpowiedź po dwóch miesiącach też kontentuje, szczególnie, kiedy jest pozytywna. Jeśli kawiarka po to ma stosować recepturę, żeby kawa była dobra i nie stosuje jej, ale kawę robi całkiem niezłą — wszystko jest w porządku, bo ja piję dobrą kawę, a ona dobrze żyje. Wyznawca takich zasad nazywany jest „człowiekiem życiowym”, co jest przeciwieństwem osobnika „nieżyłotowego” — zakaty i utrapienia dla bliźnich. Tylko, że te wszystkie normy — parzenia kawy i kodeksy karne, przepisy drogowe i administracyjne, zarządzenia o obrocie surowcami i kolejowe przepisy porządkowe oraz setki tysięcy innych — łącząc tworzą jeden gmach. W gmachu tym każdy z łatwością upatrywa sobie niepotrzebną, ba, przeszkadzającą cegłę, którą warto wyjąć i wyrzucić. Gdyby jednak wszyscy to uczynili — gmach by runął.

A. BARSKA



WŁODZIMIERZ SAAR — aktor Państw. Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie.

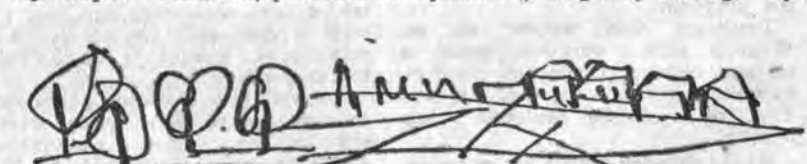
RYS. J. SIENKIEWICZ

Dotychczasowy plan Konkursu „WIEŚ BLIŻEJ TEATRU”

Wprowadzić konkurs „Wieś bliżej teatru”, ogłoszony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, redakcje „Tygodnika Kulturalnego”, „Zarzewia” i „Teatru Ludowego” nie dobiegł jeszcze końca (trwa od 1 I 1965 r. do 22 VII br.), niemniej jednak Oddział Wojewódzki Związku Teatrów Amatorskich dokonał już wstępnej oceny osiągnięć, zgłoszonych do konkursu środowisk wiejskich z terenu woj. rzeszowskiego.

Ze ta pożyteczna inicjatywa przyjęła się, świadczy ilość zgłoszeń, która stawia nasze województwo w krajowej czołówce. W konkursie bierze udział 46 środowisk wiejskich z 14 powiatów. Największą ilość uczestników zgłosiły powiaty Lubaczów (10), Dębica (7) i Łańcut (6). W ubiegłym roku w ramach konkursu zorganizowano 69 wycieczek do teatrów zawodowych, m. in. do Teatru im. W. Siemaszkowej (scena stała i objazdowa), Państwowego Teatru Ziemi Krakowskiej im. Ludwika Solskiego w Tarnowie i Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej. W wycieczkach tych wzięło udział 1.460 uczestników. Zorganizowano także 11 wycieczek na spektakle czołowych amatorskich zespołów teatralnych, w których uczestniczyło 410 osób.

Niemale znaczenie dla upowszechnienia teatru w środowisku wiejskim ma powstanie 6 kół miłośników teatru oraz zorganizowanie 13 amatorskich zespołów teatralnych, które podejmują ambitny repertuar. Np. zespół z Łukawca, pow. Sanok wystawił „Fotografię z Oflagu” Ży-



tomirskiego, z Wólki Krowickiej, pow. Lubaczów „Ścieżkę przez pola” Auderskiej, z Niegłowic, pow. Jasło „Ktoś nowy” Domańskiego, z Góry Motycznej, pow. Dębica „Grzech” Żeromskiego, z Klimkówki, pow. Sanok „Cenę” Kuśmierzka.

W czasie trwania konkursu odbyło się 39 spotkań z reżyserami i aktorami Państwowego Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie oraz 5 spotkań z działaczami amatorskiego ruchu teatralnego. W 32 miejscowościach uczestnicy konkursu oglądali przedstawienia TV i prowadzą dyskusję na temat problemów zawartych w prezentowanych sztukach.

Sądzimy, że w chwili zamknięcia konkursu będziemy mieli okazję zanotowania jeszcze poważniejszych osiągnięć naszego województwa w dziedzinie krzewienia kultury teatralnej na wsi.

(stański)

Zdarzenia tygodnia

Zakładowa orkiestra dęta Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Rzeszowie obchodzi obecnie jubileusz 15-lecia swej działalności organizacyjnej, społecznej i artystycznej.

W dniu 30 ubm. w sali widowiskowej Zakładowego Domu Kultury WSK odbył się uroczysty koncert orkiestry, na który złożyły się najpopularniejsze utwory wykonywane przez zespół, prowadzony obecnie przez Józefa Homika.

Muzykom w białych mundurach, z okazji 15-lecia istnienia zespołu życzymy jeszcze większej popularności.

Dziś, tj. w sobotę, w rzeszowskim Domu Sztuki przy ul. i Maja odbędzie się uroczyste otwarcie wystawy rzeźby Romana Tarkowskiego, krakowskiego artysty rzeźbiarza. Z przyjemnością odnotowujemy fakt, że artysta pochodzi z naszego województwa, z Jachimierza, w pow. brzozowski. Organizatorami wystawy są Biuro Wystaw Artystycznych i Związek Polskich Artystów Plastyków w Rzeszowie.

Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie zaprasza wszystkich miłośników muzyki poważnej na organizowany na wystawie rzeźby Romana Tarkowskiego poranek muzyki kameralnej. Impreza odbędzie się w niedzielę, 6 lutego br. o godz. 11. W programie utwory Ludwika v. Beethovena.

Komitet Organizacyjny eliminacji wojewódzkiej XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego ustalił 2 terminy tej imprezy w województwie rzeszowskim.

26 i 27 marca br. odbędą się przesłuchania recytatorów w kategorii młodzieży szkolnej, a 2 i 3 kwietnia w kategorii ogólniej.

Przypominamy równocześnie, że w każdym powiecie przy wydziałach kultury lub powiatowych bibliotekach publicznych istnieją punkty konsultacyjne dla recytatorów. W Rzeszowie podobny punkt rozpoczął w lutym działalność przy WDK, obejmując swym zasięgiem miasto i powiat rzeszowski.

Polska Federacja Jazzowa organizuje Festiwal Muzyki Nastolatków, mający na celu popularyzację i sprawozdanie poziomu młodzieżowych zespołów.

Organizacja przeglądów wojewódzkich, które odbędą się w lutym, marcu i kwietniu zajmie się konsulty organizacyjne, powoływane przy klubach zrzeszonych w Polskiej Federacji Jazzowej lub przy domach kultury. Do udziału w przeglądach wojewódzkich będą uprawnione zespoły, które zgłoszą swój udział w festiwalu na specjalnych ankietach, które zainteresowanym będzie wysyłała Polska Federacja Jazzowa, Warszawa, ul. Nowogrodzka 49. Zainteresowani mogą się zgłaszać w najbliższym czasie po szczegółowe informacje do wydziałów kultury powiatowych rad narodowych, powiatowych domów kultury i WKZZ.

4 bm. w Rzeszowie odbył się kolejny koncert Państwowej Orkiestry Symfonicznej, która przyjął gościennie dyryktor i kierownik artystyczny Filharmonii Łódzkiej Stefan Marczuk. Również gościennie wystąpił niemiecki pianista Siegfried Stöckigt, prof. Konserwatorium w Berlinie.

Orkiestra wykonała Symfonię nr 1 D. Szostakowicza, a S. Stöckigt koncert fortepianowy Es-dur L. van Beethovena.

W Przeworsku czynna była wystawa, zatytułowana „Z badań nad kulturą ludową w powiatach jarosławskim i przeworskim — sierpień 1965”.

Wystawa urządzona staraniem Muzeum Okręgowego w Rzeszowie i Muzeum w Przeworsku czynna była do 28 stycznia br.

W Powiatowym Domu Kultury w Sedziszowie Młp. czynna jest wystawa „Malarstwo rosyjskie XVIII-XX wieku”, przedstawiająca prace najwybitniejszych rosyjskich malarzy artystów. Wśród wystawianych prac przeważają tematy z życia mieszczaństwa i ziemiaństwa, portrety oraz krajobrazy.

7 mln widzów w Mongolii

ULAN BATOR. Mongolia obchodziła ostatnio 30 rocznicę utworzenia narodowej kinematografii. Kłino należy do najbardziej masowych i ulubionych rozrywek mieszkańców Mongolii. W tym kraju, liczącym milion mieszkańców, w ciągu roku oglądają filmy 7 mln widzów. Wytwórnia „Mongolinko” realizuje w ciągu roku przeciętnie 5 filmów fabularnych i 30 dokumentalnych.

Fernandel — autor

PARYŻ. Fernandel znany jest nie tylko jako znakomity aktor, ale także jako wyrafinowany smakosz. Nie też dziwnego, że jedno z wydawnictw francuskich zamówiło u niego książkę z przepisami kucharskimi.

Władczy temat

BERLIN. Zachodniemiecki producent Artur Brauner przygotowuje w koprodukcji z francuskimi, włoskimi, angielskimi i hiszpańskimi partnerami film nowelowy pod wielce obiecującym tytułem „Nasze testowe”.

(Kt-PAP)

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

„Danka z Rzeszowa” — Wprowadzić istotnie otrzymujemy utwory gorsze od tych, które Pań nadała, ale to nie oznacza, że „Poezja”, „Świat i walca-cy kraj”, „Pierwsi nauczyciele” są do-brymi wierszami. To proste, naiwne i dziecinne wierszyki, które pisze większość uczennic szkół średnich. Nie mają wartości artystycznych.

St. M. — Białobrzegi: Niestety, nie możemy spełnić prośby i wydrukować wierszy, gdyż oceniliśmy je negatywnie. Może zawiadomić Pań panią B. bezpośrednio o swoich uczuciach, bez naszej pomocy. Ostatecznie interesuje to przede wszystkim was dwoje.

„Studentka z Przemysła”: „Wiersze kulturalne, proste, lecz jeszcze zbyt ubogie emocjonalnie i myślowo. Za mało w nich zwięzłości i koncentracji myśli i obrazu koniecznych w poezji. Proszę jeszcze nadal pisać dla siebie, a po pewnym czasie może się uda zadebiutować”.

T. C. — Przemysł: Jeszcze nie skorzystały, ale warto próby kontynuować. Są w tych wierszach niedobre strofy i obrazy („Złudzenie wspomnień — przy-mierze — horyzont dążeń — na klawiatu-rze życia”), ale są również świeże i ładne („Twoją cichą podzielię na części — zawieszę na ścianie — albo Cię na wie-zornych mgłach uformuję wiatrem — i pozrywam z drzew Twoją uśmiechy”). Proszę się z nami skontaktować po jakimś czasie.

Bohater filmu — Polska

WARSZAWA. Znany reżyser Tadeusz Jaworski przystąpił do wstępnych prac nad realizacją pełnometrażowego filmu dokumentalnego „Polska 66”. Obecnie pisze scenariusz wraz ze Stefanem Kozickim.

Jak powstał „Pancernik Potiomkina”

MOSKWA. Znany aktor radziecki Maksym Strauch (ostatnio grał rolę Lenina w filmie Julkiewiczza) snuje na łamach „Sowietskijej Kultury” wspomnienia z okresu realizacji „Pancernika Potiomkina” Sergiusza Eisensteina. Jak stwierdza, arcydzieło to powstało w rekordowo krótkim czasie — zdjęcie do filmu trwały zaledwie dwa miesiące.

W Moskwie odbyło się ostatnie spotkanie filmowców — uczniów Eisensteina. Złożono hołd w grobu wielkiego reżysera. Następne spotkanie zorganizowane zostanie jeszcze w tym roku w Tbilisi.

Prof. Jerzy Toeplitz wyklada w Indii

WARSZAWA. Prof. dr Jerzy Toeplitz udał się do Indii, gdzie prowadzić będzie wykłady o problemach sztuki filmowej na kilku tamtejszych uniwersytetach. Prof. Toeplitz zaproszony został przez rząd tego kraju.

KRONIKA FILMOWA

Karol Irzykowski — teoretyk filmu

WARSZAWA. „Karol Irzykowski — teoretyk filmu” — to tytuł monografii pióra Aleksandra Kumora, która ukazała się ostatnio nakładem Wydawnictw Artystycznych i Filmowych. Książka wydana została w serii prac Zakładu Historii i Teorii Filmu Instytutu Sztuki PAN.

„Osiem i pół” otrzymał nagrodę ochotekowskich dziennikarzy

PRAGA. Klub Dziennikarzy Filmowych CSRS na początku każdego roku przyznaje nagrodę najlepszemu filmowi zagranicznemu, wyświetlanemu na ekranach kin czeskosłowackich w okresie ostatnich 12 miesięcy. Za najlepszy film zagraniczny 1965 roku uznano „Osiem i pół”. Felinięgo.

Alain Delon w roli Cervantesa

PARYŻ. Znany aktor francuski Alain Delon nakręcać będzie wiosną w Hiszpanii i we Włoszech film w reż. V. Shermana „Cervantes”. Partnerami Delona będą Ava Gardner i Yul Brynner. Film powstanie w wyniku współpracy kinematografii fran-

cuskiej, włoskiej, hiszpańskiej i USA, w oparciu o powieść Bruno Franka.

Pierwsze kandydatki do „Oscara”

NOWY JORK. Prasa amerykańska ogłosiła nazwiska aktorek, które mają największe szanse na otrzymanie „Oscara” w br. Wśród kandydatek przeważają aktorki europejskie: Angielki — Julie Christie, Samantha Eggar, Rita Tushingham, Vivien Leigh, Francuzki — Brigitte Bardot, Jeanne Moreau, Simone Signoret, Szwedka — Ingrid Thulin. „Oscary” przyznawane są w kwietniu.

„Wisyta w Paryżu” z Brigitte Bardot

PARYŻ. Brigitte Bardot wystąpi w filmie reżyserii Francois Reichenbacha. Będzie to opowieść o Paryżu oglądanym oczyma B. B. Ten kolorowy film przeznaczony został na rynek amerykański. Amerykanie zobaczą go w telewizji, a następnie na ekranach kin.

Spadek produkcji filmowej w Meksyku

MEKSYK. W roku ubiegłym w Meksyku wyprodukowano tylko 52 filmy fabularne — jest to najniższa